Thomas Bernhard

Rodzeństwo

Ritter, Dene, Voss

Służyć za zwierciadło naturze,
pokazywać cnocie własne jej rysy,
złości żywy jej obraz, a światu
i duchowi wieku postać ich i piętno.
William Shakespeare

Premiera: 19 X 1996

Przedstawienie zrealizowano
dzięki finansowej pomocy -

BANK BPH
BANK PRZEMYSŁOWO-HANDLOWY SA

Właścicielem praw autorskich do utworu
Ritter, Dene, Voss Thomasa Bernharda
jest wydawnictwo
Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main, BRD.

Najbliższa premiera:
Michel de Ghelderode
Kram Karoliny

Dyrektor Naczelny i Artystyczny
Tadeusz Bradecki

L.W.

Moje dni upływają pomiędzy logiką, gwizdaniem,
chodzeniem na spacery i stanami depresji.
Ludwig Wittgenstein,
List do Russella.

Ludwig Wittgenstein czy Ludwik Worringer? Mniejsza o nazwiska – obaj owładnięci szaleństwem – pierwszy swoim własnym, drugi szaleństwem Wittgensteina i szaleństwem Bernharda.

Wittgenstein był swoim własnym lekarzem – filozofię nazwał terapią, jak bowiem dotrzeć do pojęć zdrowego rozsądku nie wyleczywszy się uprzednio z wielu chorób swojego umysłu. „Filozofia jest walką z opętaniem naszego umysłu za pomocą środków naszego języka". Inni lekarze-filozofowie nie wchodzili w grę – Frege pewnie nie przeczytał nawet w całości jego *Logiki I* (*Tractatus logico-philosophicus*), a z Russellem w końcu nie można było się dogadać.

Miał być inżynierem. Zaczął od aeronautycznych badań latawców w Glossop, później próbował ulepszać śmigła, wreszcie utknął w problemach matematycznych. Potem górę wzięła logika i w końcu okazało się, że „praca rozszerzyła się od podstaw logiki ku naturze świata".

„... jakże mogę być logikiem póki nie jestem człowiekiem!" Nie problemy filozoficzne zatem się liczyły – te przecież powstają, „gdy język świętuje". Stać się człowiekiem i to genialnym (a jako alternatywa samobójstwo), stać się kimś, kto WIDZI. Jak twierdził, filozofią powinni zajmować się tylko ci, którym jest ona absolutnie niezbędna do życia – nic zatem dziwnego, że wciąż starał się zniechęcać swoich studentów do zajmowania się nią i cieszył się, gdy zniechęceni szukali sobie „uczciwej pracy".

Jeśli już zajmować się filozofią, to problemami języka – jedynymi problemami filozoficznymi (Iluż filozofów łamało sobie głowy nad pozorami stworzonymi przez język!). „Język jest labiryntem ścieżek. Przybywasz z jednej strony i orientujesz się w sytuacji; przybywasz do tego samego miejsca z drugiej i już się nie orientujesz." Jeśli chodzi się różnymi ścieżkami, to można się co najwyżej z kimś zderzyć w miejscu ich przecięcia. Język-labirynt pełen słów, które przy każdorazowym (najczęściej nieświadomym)

użyciu stają się czymś innym, nie mają niezmiennych znaczeń. Zmylić drogę nie trudno (vide wszyscy filozofowie). Język używany bezwiednie jest chorym językiem. Rak języka jest zatem dziedziczny, skoro od dziecka nauka języka i późniejsze jego używanie prowadzą do tego, że się go nie zauważa. Znów konieczna jest terapia – „Porównaj «znaczenie» słowa z «funkcją» urzędnika. A «różne znaczenia» z «różnymi funkcjami»", traktuj słowa jak narzędzia, które służą określonym celom, a nie jak etykietki z nazwami rzeczy. „Nasza rozmowa nabiera sensu dzięki reszcie naszych działań".

Największy fiord w Norwegii – Sogne. Nad pobliskim jeziorem L. W. buduje chatę. Z wioski można dotrzeć do niej łodzią, pieszo tylko w zimie – po lodzie. W Cambridge przebywa z niechęcią, mierzi go uniwersytet, popada wciąż w konflikty (czemu trudno się dziwić, skoro o znanych profesorach filozofii mówi np. „Widać po nim, jak daleko zajść może ktoś całkowicie pozbawiony inteligencji."); w Norwegii też długo nie wytrzymuje pracując w samotności. „Tylko nie jednoosobowy pokój powiedziałem / błagam tylko nie jednoosobowy / a potem jednak / tylko jednoosobowy pokój / błagam tylko jednoosobowy / To nie jest problem drewnianej chaty powiedział / to problem Cambridge".

Nowotwór. Wiadomość, że kuracja hormonalna mogła przedłużyć mu życie o parę lat, wręcz go zmartwiła – nie zgodził się na nią. „Moje życie polega na tym, że niejedno mnie zadowala."

Artur Przybysławski

Voss

Wypisy z Dzienników

17 lipca 1996, godzina 21.13

„Dałyście się namalować!" – Ludwik nie do końca umie sobie to uzmysłowić, ale czuje, że siostry sprzeniewierzyły się, popełniły grzech. Młodość zawiera przecież układ, składa przysięgę. Trzeba się trzymać wytyczonego poziomu. Przecież w Glossop było inaczej mimo bólu gardła Dene. Byli wówczas uwolnieni od rodziców i wszystkich więzów i kryteriów tamtych pokoleń i pewni, że tego nagle odkrytego skarbu samodzielności nikt im nie zdoła odebrać. Nawet jeśli nie za wiele na ten temat rozmawiali, nawet jeśli nie prowadzili jak Marzyciele Musila na ten temat zażartych dyskusji. Ludwik był pewien, że siostry podążają za nim... Był zajęty czymś innym. Mówił, wydawał oceny, szafował sądami – one już wtedy na te tematy przeważnie milczały. Ludwikowi zdawało się wtedy jeszcze, że to wszystko jest ich wspólną własnością. Nie umniejsza to żadną miarą jego egoizmu (czy egotyzmu)... Nagle one wycofują się. Pod jego nieobecność uciekają do dawnych wierzeń. Ludwik czuje się jak Mojżesz wracający z tablicami z góry Synaj... To jednak bynajmniej nie wszystko. Coś tu podziało się podczas jego nieobecności pod pozorem kamiennej nieruchomości. Tak, tak – to tylko był pozór. Choćby ten... TEN! – co je namalował. Młody artysta, uzurpator. Być może słynny artysta, być może Ludwik o nim słyszał. Młodszy od niego i sławniejszy. Więc oto podchodzi spod nas nowe pokolenie, jeszcze bardziej wycwanione w podstępach i sztuce pozorów. Uzurpatorzy awangardy! Podchodzą pod dorosłe życie, pod sztukę jak dzieci – złodzieje. Dlaczego nie dobierają się do stojącego przed nimi świata, tylko robią karierę? Lekceważą tajne alchemiczne reguły. Drapieżnicy – nie wiedzą wcale o ich istnieniu, traktują je jako bezsensowny mur zagradzający wejście. W sztuce trzeba przecież szybko znaleźć coś, co przypomina stare zmaganie w nowy jeszcze przez nikogo nie zaklepany sposób. A czy jest to prawdziwe zmaganie? Przecież i tak nikt się na tym nie pozna! Przecież to widać na tych obrazach. O co chodzi temu młodemu człowiekowi? On przecież daje do

Dene

zrozumienia, że o coś mu chodzi, że to co kieruje jego ręką – to prastara szukająca na oślep i alchemicznie – obsesja. I on ma właśnie taką. Można sprawdzić – nikt takiej jeszcze nie użył. A oni patrzą i podziwiają – ci, co dali mu sławę i wpisali jego nazwisko do encyklopedii. I dlaczego on – Ludwik (kiblujący w Steinhofie, żeby dochować wiary (wierności) temu bolesnemu chwytowi, który gdzieś i kiedyś w zakwitaniu młodości zacisnął się między nim a światem) – nie potrafi znaleźć zadowalającego wszystkich wyrazu? A przecież patrzy na te obrazy i nie może się uwolnić od bezzasadnej zawiści. Jakby zazdrościł uzurpatorowi pewności, że to co robi, jest sztuką. Może impet tego dziecięco-złodziejskiego przekonania czyni sztukę z każdego gestu. A poza tym, dlaczego, skoro chcą dołączyć do domowej galerii, siostry kazały wymalować tylko siebie? Czyżby męskiego potomka już całkiem nie było, czyżby został w Steinhofie unicestwiony. Ojciec, matka, wujowie i z nowego pokolenia: DWIE KOBIETY! Nowe oszustwo w tym dręczącym chaosie, w tej obrzydliwej tajemnicy rodzinnej. Im bardziej chce Ludwik być ponad tym, tym głębiej czuje się upokorzony. Haniebny jakiś proceder. Gdyby one dokonały go w pełni świadomie, z perfidią – mógłby to jeszcze zrozumieć. Ale one, głupie (jak ów ludek Izraelski) dały się omamić jakiemuś tkwiącemu tu (czy przychodzącemu z zewnątrz) mechanizmowi degrengolady... Siostry obsuwają się na powrót w zmurszałe rodzinne łono i czynią to przy pomocy „artysty", którego zwą awangardowym. Chcą go zostawić samego? Nie dość, że zapadają się genetycznie (w trumnę białego małżeństwa skierowanego w tył, ku przeszłości, a uczynionego siłą bezwładu i inercji z siostrzano-braterskich więzów) – ale również duchowo – opuszczają zaczęty proces i zanurzają się w pluszowe łono tradycyjnej starczej GŁUPOTY. W końcu!... Czyż im w końcu nie wolno? Dlaczego Ludwik czuje się nagle zdradzony i opuszczony? I w dodatku – tak jakoś wstydliwie. Nie wolno się przyznać do nagłego powiewu dziecięcego lęku, do pomniejszającego i odbierającego godność twórczej samotności skurczu osierocenia. Nagle wobec tych absurdalnych portretów Ludwik jest nikim. Może sobie krzyczeć, jakaś trywialna inercja robi swoje. Objawia się to gdzieś w tych pretensjonalnych głupich portretach. Gdyby tylko się im dobrze przyjrzeć! Te pozujące pełne mieszczańskich (narcystycznych) nadziei gesty, zdeformowane przez awangardowego artystę. Gdzieś tu leży sedno upadku. Ludwik jednak nie chce zawierzyć temu medium, zbyt jest pełen zawiści. Zresztą Dene zabiera obrazy z powrotem na strych, zanim jeszcze zdążył dobrać się do nich po raz trzeci. Wstydzi się wołać, by się wróciła. Przecież już wydał wyrok. A on chciał jeszcze w skrytości raz spojrzeć – i wydrzeć to co się przekazuje, jeśli tylko ustąpić z przymusu kryteriów artystycznych (których trzymamy się, jak tonący brzytwy)... A zresztą... A one? Z jakim uczuciem znoszą ze strychu te portrety. I kto je tam zaniósł. Dene? Kiedy? W ostatniej chwili? Bo może korciło ją, żeby Ludwik zobaczył. Może nie traktuje tego portretowania jako upadku w rodzinno-mieszczańskie kołtuństwo, wręcz przeciwnie: impetem awangardowym malarza odcina się od nich, wprowadza nowy akcent do stołowego pokoju. Pewnie miały ze stosunkiem do tych obrazów sporo kłopotu. Niezbyt obeznane w malarstwie, zagubione w labiryntach awangardy i snobizmu stawały przed tymi płótnami bezradne i skrępowane. Najpierw nie wiedziały, co powiedzieć. Bo na początku szukały tam siebie. Nie znajdowały, były przerażone swymi twarzami – żałosnymi i zerkającymi na widza ze strachliwą prowincjonalną pychą... „To przecież nie ja" – myślały – „raczej... wręcz przeciwnie!" Ale skoro to było awangardowe!... Tam chodzi o inne rzeczy, a przede wszystkim chodzi tam o ekspresję. Coś jednak zaczęły w tych obrazach znajdować. „Wiesz" – mówiły po długich chwilach bezradnego i skrępowanego wpatrywania się w obraz – „w tym coś jest, wiesz może nie bezpośrednio, nie w podobieństwie... ale kiedy przypomnę sobie o swojej ostatniej roli... i, muszę ci powiedzieć, to robi wrażenie. Przecież doszukiwanie się fizycznego podobieństwa we współczesnym portrecie to czyste kretyństwo..." I tak snuły naprzemiennie pieśń, aż wreszcie zaakceptowały swoje portrety i potem, kiedy ktoś oglądając wyrażał ostrożne zdziwienie albo wątpliwość, czy malarz zbyt nie oszpecił, mogły ze spokojnym uśmiechem wyższości powiedzieć: „Ja w tym widzę kwintesencję siebie." A teraz Ludwik znów wszystko wywrócił w nice. Czuły się obnażone i upokorzone w tym wszystkim, co już na ten temat przeżyły. Ludwik ośmieszył je w rejonie GUSTU, a to jest bardzo bolesne i, co gorsza, nie można się bronić. Wyrazy twarzy i gesty, z którymi pozowały, znów są bezwstydnie obecne, nagle w nowym kontekście – kontekście szmiry – wyostrzone do trywialnej parodii. Rozerwany wór z którego się sypie głupota. Dały się komuś (czemuś) oszukać. Stoją przed portretami zawstydzone – prowincjonalne niedojdy – niedopuszczone i niepoinformowane o najnowszej tajemnicy, tej która jest właśnie en vogue.

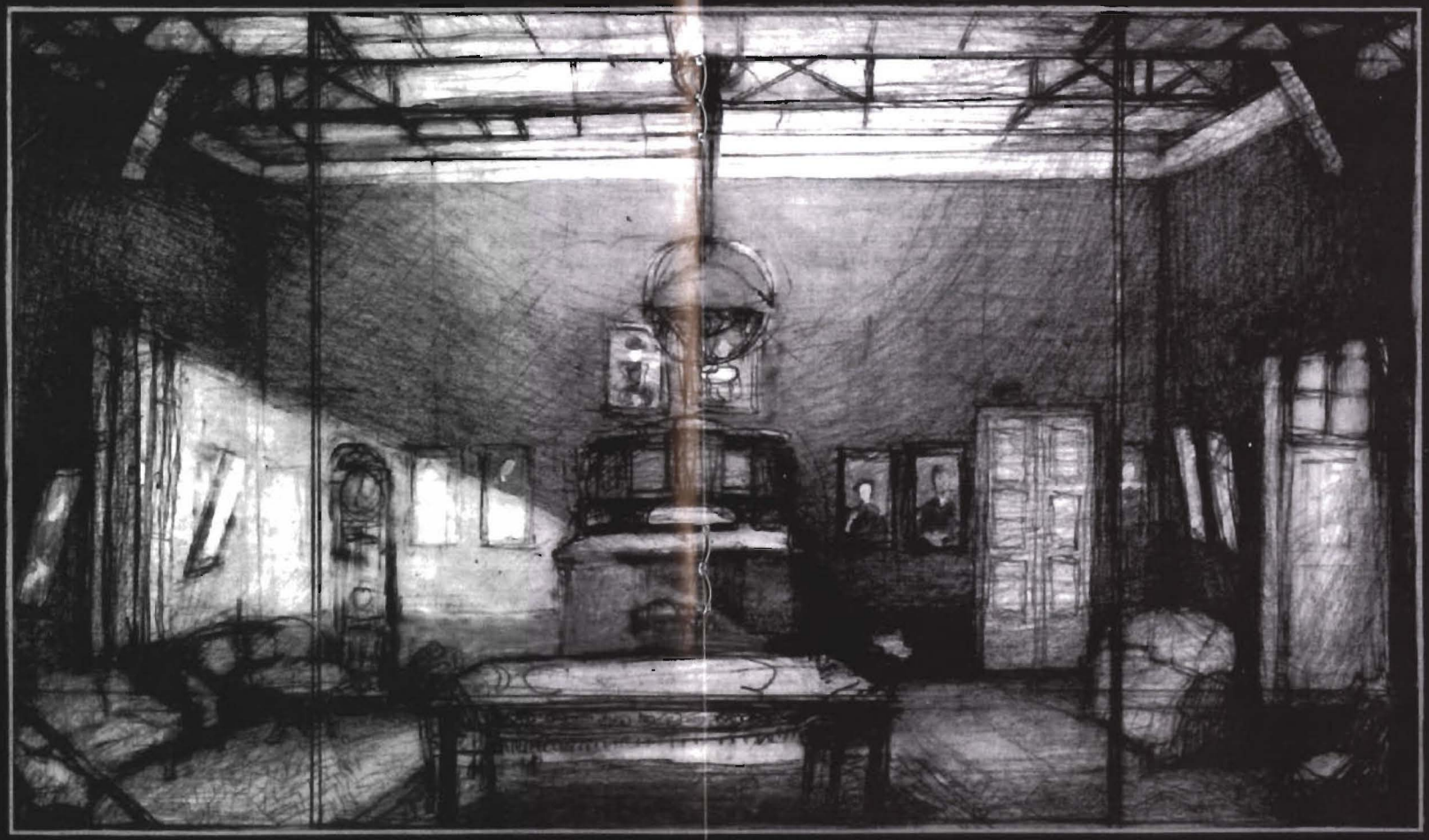

3 sierpnia 1996, godzina 12.11

Ludwik zgłębia genezy klęsk i kalekiej swej dojrzałości. Zaczęło się to gdzieś tu w stołowym pokoju w zastygłej konstelacji koralowca, gdzie żywych przedstawicieli rodziny zastępują portrety. Kredens jest ołtarzem mieszczańskiego sanktuarium, wydobywane stamtąd przedmioty stoją na straży rytuału. Gdzieś to się tu zaczęło? Było to w matce, skąd ona przyniosła?... Dlaczego musiała (czy chciała?) odrzucić paniczną miłość chłopca? Ale dlaczego ta miłość była paniczna? Matka była piękna, to piękno zdawało się być zapowiedzią wiecznego szczęścia. Kto był właścicielem tego piękna? Teraz wiadomo, że nikt nie potrafił go wykorzystać. „Zawsze cierpieliśmy pod tymi okropnymi obrazami" – obrazy zdają się przechowywać w sobie to cierpienie. Skoro tak, to może jest tu przechowana właściwa droga, jak nierozwinięty pęd? Wystarczy zmienić figurację, a pęd się odsłoni! Każdy pęd – rozwijając się, rosnąc – oddala się od innych pączków. Teraz ta jaskinia początków jest szczególnie niebezpieczna – każde fałszywe dotknięcie sprowadza katastrofę. Mimo to Ludwik z zawziętym uporem chłopca – dotyka. Siostry nie mają dla tego zrozumienia – nigdy nie miały zrozumienia – zawsze przeszkadzały, nawet Ritter, która zawsze myślała, że te dotyki mają na celu totalną negacje i unicestwienie. Przyłączała się do jakiejś rzekomej eksplozji, kiedy on właśnie chciał coś uratować. A one – we dwie – już się tu niemal zadusiły – w wiecznie trwającym klinczu. Kiedy mówię: „matka jest winna!" – nie oznacza to bynajmniej całkowitego potępienia. Sam czasem nie wiem, co to oznacza, może oznacza to właśnie na nowo wzbudzoną miłość. Mam prawo nie wiedzieć, co to oznacza! Ona, Ritter – musi zawsze wiedzieć. Animus nie zniósłby sytuacji NIEWIEDZENIA. Lubię ją, kocham! Tak – kocham! Ale kiedy przyłącza się do mnie, zaczynam być nieufny, bo dzwoni we mnie cichy dzwonek, że błądzę. Siedzę w tym pokoju stołowym i rozjątrzam stan wklęsłej (ssącej) niewiedzy. Dotykam i przy każdym dotknięciu ranię którąś z nich – najczęściej Dene, bo mój ruch przy takim dotknięciu z jej perspektywy wygląda jak upadek, jej się wydaje, że upadam, chce mnie podtrzymać, a ja wtedy muszę uderzyć... Na przykład! Na przykład! Bo zdarzają się tu jeszcze inne, mniej przezroczyste mechanizmy. Teraz, kiedy skończyłem DZIEŁO, jestem może bliżej odkrycia tego dręczącego stołowego pokoju. Nie mogę tego znaleźć w sobie, muszę zobaczyć na zewnątrz! A może przymus przybiera na sile? Może moje dzieło, mimo, że niewątpliwie genialne, obnażyło mi całe moje kalectwo. Dotarło do miejsca, gdzie szybko postawiłem słowo „Koniec!" (z wielkim wykrzyknikiem), bo dalej był teren HORRORU i WIELKIEJ PANIKI – i jakiś palec z boku, jak palec Jana Chrzciciela, wskazuje na mnie, sugerując, że jądro tej paniki, że jądro tego horroru jest we mnie. Już się przyzwyczaiłem do tego, kim jestem i jak przebiega moje życie, ale wystarczy jakieś przypadkowe spojrzenie w tył (w bok?) aby zobaczyć przepaść. Może powinienem tu zostać, uspokoić się, przytulić do dziecięcych intuicji i przeczuć. To wszystko negatywne tutaj, stygmaty cierpienia są jak płyty grobowe, pod którymi wpół zaduszone czekają, wciąż jeszcze czekają niewykorzystane życia. Dlaczego mam swoje dzieło zawdzięczać chorobie? Wystarczyłoby tu coś zmienić, tu u początków i wtedy to wypychające, wypędzające ciśnienie zniknie i rozpocznie się czas ulgi i odrodzenia? To wszystko pod panicznym ciśnieniem wciąż podobnie kłamiących pokoleń, zespolone w nieprzenikniony monolit rozchyli się i dopuści do wnętrza skąd będzie to można na nowo odczytać i wykorzystać zgodnie ze swym posłannictwem i przeznaczeniem. Nadzieja ta nie jawi się jako myśl, lecz jako przymus – zamknięty w nastrojach, w obsesyjnych nawrotach podchodzących pod zmysły motywów. Ten sposób istnienia przymusu nie pozwala na wolny wybór i jeśli ktoś staje w drodze, musi stać się obiektem i celem agresji. Popełniam bezustannie jakieś zbrodnie. Jestem zdezorientowany i osowiały i nie mogę zrozumieć, dlaczego dołącza się do tego jakiś przekorny posmak mściwego zadowolenia. Siedzący na mnie okrakiem wampir, którego w żaden sposób nie mogę zdjąć ani zrzucić, miewa w najpaskudniejszych momentach jakieś swoje osobliwe płciowe satysfakcje. Te satysfakcje mają charakter estetyczny, moje zbrodnie mają pozory dobrego smaku i odcinają się w ten sposób od wszystkiego tutaj, a wszystko tutaj jest przygnębiająco niesmaczne.

Nie wiem, jakim cudem znalazła się tu nagle Dene z kalesonami! Jednak ten widok, to pierwsze co można było zobaczyć, zanim jeszcze wzrok rozpoznał, co Dene ma w rękach i jaki ma wyraz twarzy, ta jakaś całość przerażająca, która idzie przed szczegółami i która ma postać złej wieści, sprawiła, że Ludwik powstał, jakby w przeczuciu, że wieść będzie dotyczyła czyjejś śmierci. Mówi się w takich wypadkach na przykład: „Nie wiem dlaczego i nie wiem gdzie to tkwiło, ale tak weszłaś... nie wiem... byłaś tak podobna do matki, że pomyślałem sobie... nie, nie, nie pomyślałem sobie, że to matka, pomyślałem jakimś błyskawicznym z przerażenia skokiem myśli, że matka umarła, a przecież matka już dawno nie żyje..." To przeczucie złej wieści, ta nagła paniczna myśl sprawiły, że Ludwik powstał. Automatycznie. Wtedy dopiero rozpoznał, że Dene trzyma

kalesony, a ten dziwny wyraz całości pochodzi pewnie z lęku Dene, z połączenia tamtej zduszonej rozpaczy (czy nienawiści?) i strachu-zawstydzenia tym nagle niewymownie zuchwałym prezentem. Matka stoi z wiatrówką i celuje śrutem w moje genitalia! Hmm, dziwaczne. I nagle słyszę, bo już – pokazując blizny na dłoniach – zdążyłem o tym zapomnieć – słyszę kwartet Beethovena, a potem zimny i przenikliwy śmiech Ritter. Sytuacja staje się nieznośnie żenująca. Dene, jak mogłaś, jak to się stało, że ci nie wystarczyło samozachowawczego instynktu? W imię dobrego smaku będę cię musiał zmasakrować, w żaden inny sposób ta sytuacja się nie da obronić. Ciebie, Dene, mogę obronić jedynie przez uderzenie. Ten wylękniony, purpurowy na twarzy i podchodzący do fatalnego prezentu z jakimś skowytem, który się rozlazł po całej krtani, młodzieniec musi zostać unicestwiony. Trzeba go będzie sparodiować do granic możliwości, wszystkie te nieporadne gesty sięgające do bawełnianej materii, wszystkie te przymiarki wmuszające w kogoś... (w kogo? w Dene, w Ritter, we mnie?) – że prezent będzie potrzebny i tamta cała wstydliwa miłosna zapobiegliwość, tamta zawstydzająca żałosna miłość nie pójdzie na marne. Po drodze pojawiają się kolejne hybrydy. Kalesony są mianowicie metrem z Sevres wymierzającym moją wielkość... a wielkość tę przez dziwaczną, bezsensowną, ale przemożną asocjację można zestawić jedynie z długością penisa. A ten penis musi być dokładnie (przez kogo?) wymierzony wyłącznie z myślą o Dene... i o matce oczywiście, która mi zawsze kupowała jedwabne kalesony, jakby chciała w ten sposób powstrzymać mój penis (mego Penisa!) od wzrostu! Jedwabne kalesony miały na zawsze wstrzymać moje nogi od (nawet najmniejszego pragnienia!) zarostu... I Ludwik przypomina sobie własny dziecięcy gest kiedy po tej śliskiej gładkości przesuwał ręką wyżej i wyżej i już zamykał oczy, by pomóc oczekiwaniu palców, że wejdą do ciemnego i ciepłego wnętrza i że będzie to jak wejście do wnętrza oczodołu wypełnionego gorącymi łzami, a palce staną się tak czułe i delikatne, że poczują ten smak – własny, gorący i słony... Dłonie sunąc po udach jeszcze dziś czują ten poślizg, a biodra połaskotane robią ów charakterystyczny unik, jakby chciały uciec z świeżo zdobytą kobiecością... Na powierzchni tych wrażeń trwa coraz absurdalniejsze próbowanie kalesonów. Ritter zbliża się z boku jak hiena – wygłodniała amatorka padliny – spragniona demonicznego końca. Dene – sparaliżowana wciąż jeszcze bolesnym zranieniem, wstydliwością... przecież nie może być mowy o pojednaniu poprzez kalesony... po prostu nie ma żadnego pojednania, bo nie było żadnego konfliktu, nie było żadnych

spazmów, żadnych łez, żadnych tragedii... po prostu jest zwykłe popołudnie, pora odpoczynku i delikatnych rozrywek, a zatem i najlepsza pora na prezent. Ta wstydliwość sprawia, że Dene nie ma odwagi spojrzeć bratu w oczy, nie ma odwagi do żadnych osobistych adresów, może być zajęta jedynie przyniesionym przedmiotem, konkretnymi i wymiernymi aspektami tego par excellence praktycznego podarunku, omijając przy tym wszelkie osobiste zabarwienie i nie dostrzegając żadnej płciowości. Wszystko idzie via kalesony... Mimo to, a może właśnie dlatego natrętna, łechczywa, nieprzyzwoita płciowość bawełnianych szmatek monstrualnieje z każdą chwilą, z każdym dotknięciem, z każdą przymiarką, z każdą zmianą pozycji bezczelnie wyeksponowanych fetyszy. Ludwik też nie ma innej drogi, uwięziony przez równoległość – również nie może wyzwolić się z kalesonów i zwrócić uwagę na Dene. Być może zerwało by to demoniczny łańcuszek i zezwoliło na odruch litości – choć byłoby to na wskroś niegustowne. Wszystko prze do gwałtu, za którym czeka niewiadomy jeszcze, całkowicie niejasny seksualny eksces – a w nim może wreszcie wyzwolenie z nieznośnego napięcia, z kłamstwa narzuconego przez ceremonie stołowego pokoju, wyzwalająca profanacja patrzących nieprzychylnie i wyzywająco oczu przodków. Teraz Dene ma chwilę paniki – aby potrzebie symetrii stało się zadość: Ludwik rozbiera się, a Ritter przyłącza się do tego gorączkowo, skwapliwie i jakoś poddańczo, za chwilę wykradnie brata i wszystko spadnie gdzieś w przepaść... To nie jest żadna pruderia, to nagłe paniczne widzenie, w którym również przed prawdziwymi szczegółami (które do świadomości docierają dopiero po chwili) idzie zła wieść! Z dzikim, histerycznym wrzaskiem ptaka odciągającego krogulca od gniazda – Dene wyrywa Ritter kalesony... Nie wolno! Nie treść, ale intonacja wprawiają wszystkich w osłupienie. Łącznie z Dene. Stoi teraz sparaliżowana, przerażona obnażoną okropnością własnego krzyku. Ludwik i Ritter powtarzają co prawda to fatalne „nie wolno!" parodiując mechanicznie zasłyszany ton, ale są jacyś spłoszeni i wybici... rozczarowani, że nie doszło do przekroczenia, za którym byłaby, co prawda nie wiadomo jaka – może unicestwiająca i poniżająca – ale ulga... ULGA!!!!

Krystian Lupa

Przedstawienie sponsorowane przez

zepter®
INTERNATIONAL

CZAS NA KREDYT z BANKU BPH

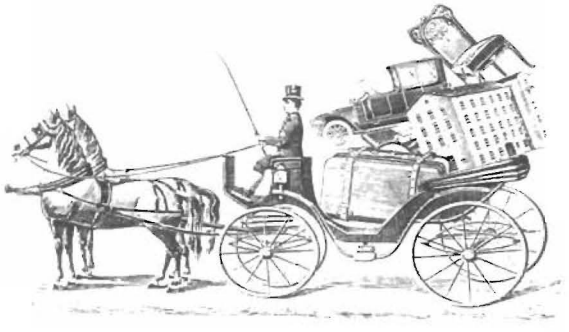

Staramy się zaspokoić życzenia każdego, kto obdarzy nas zaufaniem. Nasi pracownicy codziennie służą Państwu radą i pomocą w ponad 120 placówkach Banku BPH na terenie całego kraju. Stworzyliśmy bank z myślą o spełnianiu oczekiwań naszych Klientów. W naszej bogatej ofercie każdy znajdzie coś odpowiedniego dla siebie m.in.

- prowadzenie rachunków bieżących i terminowych,
- udzielanie kredytów obrotowych, inwestycyjnych i innych,
- udzielanie gwarancji bankowych,
- wykup wierzytelności, faktoring,
- prowadzenie rozliczeń w obrocie krajowym i międzynarodowym poprzez sieć S.W.I.F.T.,
- sprzedaż i obsługę kart płatniczych BPH-VISA, euroczeków, czeków American Express oraz Thomas Cook,
- sprzedaż polis ubezpieczeniowych Commercial Union.

Centrala Banku:
ul. Na Zjeździe 11, 30-527 KRAKÓW
tel.: (12) 223 333, (12) 187 888,
fax: (12) 216 212, (12) 187 843, tlx: 326426 BPH PL

BANK BPH
BANK PRZEMYSŁOWO-HANDLOWY SA

Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej
ul. Jagiellońska 5
31-010 Kraków

Sekretariat
tel. 21 29 77
fax 21 33 53
telex 32 64 83

Duża Scena i Sala im. Heleny Modrzejewskiej
ul. Jagiellońska 1, kasa biletowa – ul. Jagiellońska 1
tel. 22 40 40 lub centrala tel. 22 85 66, 22 87 63, 22 80 20

Scena Kameralna
ul. Starowiślna 21, kasa biletowa – ul. Starowiślna 21
centrala tel. 21 19 95, 21 19 98

Mała Scena
ul. Sławkowska 14, kasa biletowa – ul. Jagiellońska 1
tel. 22 40 40 lub centrala 22 85 66, 22 87 63, 22 80 20

Kasy biletowe prowadzą sprzedaż:
– wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota
10^{00} – 13^{00} i 17^{00} – 19^{00} oraz 2 godziny przed spektaklem
– niedziela 17^{00} – 19^{00} oraz 2 godziny przed spektaklem
– przedsprzedaż rozpoczyna się 5 dni przed spektaklem

Organizacja Widowni
ul. Jagiellońska 1
rezerwacja biletów indywidualnych i grupowych
sprzedaż kart stałego widza
– codziennie z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych 9^{00} – 17^{00}
– w soboty 9^{00} – 14^{00}
tel. 22 40 40 lub centrala tel. 22 85 66, 22 87 63, 22 80 20

Biuro Promocji Zagranicznej Starego Teatru
ul. Wołodyjowskiego 67a
02-724 Warszawa
tel./fax (22) 43 48 99

Muzeum Starego Teatru
ul. Jagiellońska 1
centrala tel. 22 85 66, 22 87 63, 22 80 20
czynne na godzinę przed przedstawieniami i w czasie spektaklu

Redakcja programu: Maria Klotzer
Opracowanie graficzne: Lech Przybylski
Opracowanie komputerowe: Piotr Kołodziej

Ze zbiorów
Działu Dokumentacji
ZG ZASP

UNIA TEATRÓW EUROPY

DYREKTOR NACZELNY I ARTYSTYCZNY TADEUSZ BRADECKI

Thomas Bernhard

Rodzeństwo

Ritter, Dene, Voss

przekład: Jacek St. Buras

aktorzy:

Ritter	
młodsza siostra	Małgorzata Hajewska-Krzysztofik
Dene	
starsza siostra	Agnieszka Mandat
Voss	
Ludwik	Piotr Skiba

REŻYSERIA I SCENOGRAFIA

Krystian Lupa

MUZYKA

Jacek Ostaszewski

W przedstawieniu wykorzystano fragmenty utworów Ludwika van Beethovena
III Symfonii Es-dur (Sinfonia eroica), op. 55
Kwartetu smyczkowego B-dur, op. 130

Asysytent reżysera: Remigiusz Brzyk (PWST WRD)
Asystent scenografa: Piotr Skiba

Przedstawienie zrealizowano dzięki finansowej pomocy BANK BPH

Z-ca Dyrektora ds. Administracyjnych Ryszard J. Skrzypczak • Kierownik Muzyczny Mieczysław Mejza

inspicjent	*Zbigniew Duma*
sufler	*Iwona Gołębiowska*
kostiumy:	
pracownia krawiecka damska	*Halina Drahus*
pracownia krawiecka męska	*Fryderyk Kałkus*
dekoracje:	
pracownia butaforska	*Barbara Nowak*
pracownia malarska	*Małgorzata Talaga*
pracownia stolarska	*Wiesław Wróbel*
pracownia ślusarska	*Leszek Bubak*
pracownia tapicerska	*Jan Regulski*
charakteryzacja	*Zofia Zielińska*
światło	*Adam Piwowar*
dźwięk	*Mieczysław Guzgan*
główny brygadzista	*Wiesław Małek*
kierownictwo techniczne	*Jerzy Kołak, Anna Kammer, Andrzej Starzyk*
koordynacja pracy artystycznej	*Małgorzata Piotrowska-Jarosz, Urszula Więcek*

!!! PREMIERA NA SCENIE KAMERALNEJ DNIA 19 PAŹDZIERNIKA 1996 ROKU !!!

Ludwig Wittgenstein

Jeśli w życiu otacza nas śmierć, to także w zdrowiu psychicznym obłęd.

•

Spokój myśli. Jest to najbardziej upragniony cel kogoś, kto filozofuje.

•

Nie jestem w stanie powiedzieć w mojej książce ani słowa o tym, co w moim życiu znaczyła muzyka. Jakżeż więc żywić mogę nadzieję, że zostanę zrozumiany?

Dla zrozumienia zdania równie nieistotne jest to, że coś sobie w związku z nim wyobrazimy, jak i to, że sporządzimy według niego jakiś rysunek.

•

„Nazywamy rzeczy, a następnie możemy o nich mówić; odnosić się do nich w naszej mowie." – Jak gdyby z aktem nazywania dane już było to, co będziemy robić dalej. Jak gdyby było tylko coś jednego, co nazywa się „mówieniem o rzeczach". Tymczasem zaś za pomocą naszych zdań robimy rzeczy najróżniejsze. Pomyślmy o samych tylko wykrzyknikach, z ich zupełnie różnymi funkcjami.

Wody!
Precz!
Au!
Pomocy!
Pięknie!
Nie!

Czy nadal skłonny jesteś uznawać te wyrazy za „nazwy przedmiotów"?

•

A wyobrazić sobie jakiś język, znaczy wyobrazić sobie pewien sposób życia.

•

Siedzę w ogrodzie z filozofem, który raz za razem powtarza „Wiem, że to jest drzewo", wskazując na drzewo rosnące nieopodal. Ktoś trzeci podchodzi i słyszy to, a ja doń mówię: „Ten człowiek nie jest obłąkany, my po prostu filozofujemy".

•

Gdyby lew umiał mówić, nie potrafilibyśmy go zrozumieć.

•

I tak to właśnie jest: jeśli tylko nie silimy się, aby wyrazić to, co niewyrażalne, nic *się nie zatraca. Ale to, co niewypowiadalne, będzie – niewypowiadalnie –* zawarte *w tym, co zostało wypowiedziane.*

•

Moja praca składa się z dwóch części: jednej przedstawionej tutaj plus to wszystko, czego nie napisałem. I to właśnie ta druga część jest ważna. Moja książka kreśli granice sfery tego, co etyczne, jak gdyby od wewnątrz, a przekonany jestem, że jest to JEDYNY rygorystyczny sposób nakreślenia tych granic. Krótko mówiąc, wierzę, że tam, gdzie wielu *innych tylko paple, zdołałem w mojej książce solidnie wszystko poustawiać, poprzez zachowanie na ten temat milczenia.*

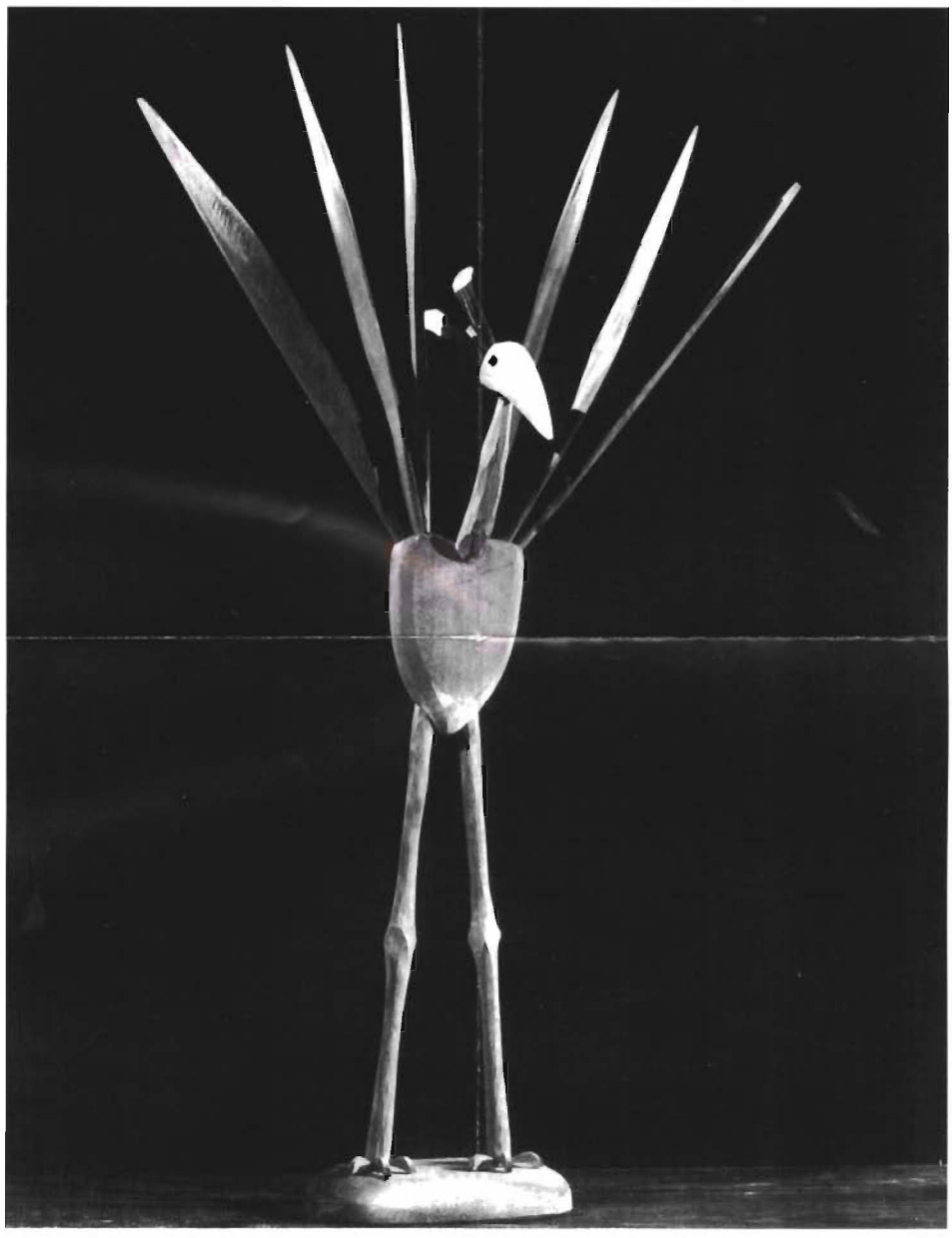

W muzyce Beethowena po raz pierwszy przejawia się to, co można by nazwać wyrazem ironii. Np. w pierwszej części „Dziewiątej". A jest to u niego ironia straszna, niczym ironia losu.

•

Wynikami filozofii są odkrycia zwykłych niedorzeczności oraz guzy, jakich nabawia się rozum atakując granice języka. One właśnie, owe guzy, pozwalają docenić wartość tych odkryć.

•

Więził nas pewien obraz. Nie mogliśmy wydostać się, bo tkwił w naszym języku, a ten zdawał się go nam nieubłaganie powtarzać.

Przeł. Wojciech Sady i Bogusław Wolniewicz